

52 765

Stambul

pod uw

Dr. Władysław Szajnocha

Bitau. Jeden dzień w górach Tenzhany.



52765

Przekazane z druków zbędnych
Biblioteki
Państwowego Muzeum Zoologicznego

N-4778467 NH-68048/TMK
PAM don

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167669

Opisy podróży



ZORZA KRAKÓW

FOT. DYR. LUDIG.

DOLINA MAILI SAJ Z KOPALNIĄ OLEJU SKALNEGO.

BITAU.

Jeden dzień w górach Ferghany.



Przy kopalni w Bitau.

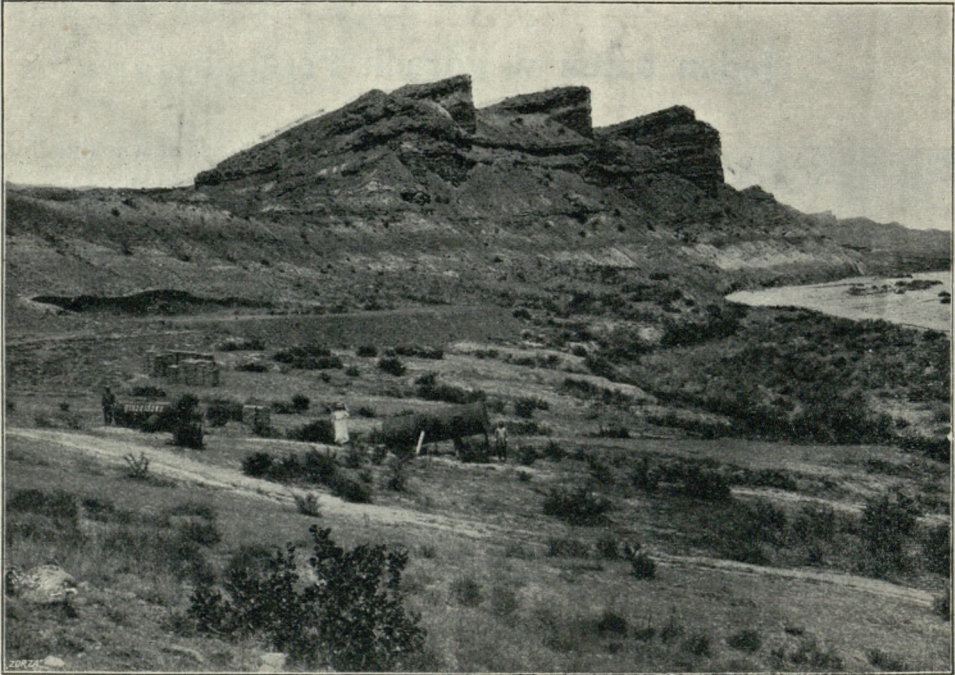
Fot. Szajnocha.

Przez dwa dni byłem już na kopalni w Maili Saj — o pięćdziesiąt kilometrów od Namanganu, ostatniego ku północy większego miasta Ferghany — badając tamtejsze naftonośne pokłady i używając w całej pełni skwarnej, kamiennej, bezdrzewnej, niemal nagiej pustyni. Czerwone jak cegła skały, niezbyt wysokie, lecz przecież strome

i ostre warstw grzebieniami, otaczały wąskie łożysko zupełnie suchej, bezwodnej doliny, w której wprost nienaturalnie wydawały się cztery malutkie drewniane budyneczki, mieszczące cały zwykły personal kopalniany i nas: ekspedycję geologiczno-górnictwą z wielką, kilkunastu konnych Kirgizów liczącą eskortą. W tej pustyni kamiennej, w której poza kępami tamaryszków i nikłych trawek i prócz kilku marnych topolek, przytulonych pod skałą »Petrovskiego uczestku« śladu zresztą żadnej innej roślinności i zieleni nie było, w której nie już jakiegos ptaszka lecz nawet żadnego owadu nie można się było dopatrzeć, człowiek jest prawie nie na miejscu i krzątanie się ludzi — nawet Kirgizów i Sartów w ich malowniczych barwnych chałatach i białych turbanach albo białych, stożkowych czapkach — raziło, jak plama nienaturalna w tym gorącym, czerwonym, pustynnym obrazie. Ale też ta plama daleko nie sięgała. Kilkadziesiąt kroków od łożyska doliny poza granicą kopalni z jej wieżami wiertniczymi i naftowymi zbiornikami, była już prawdziwa, szeroka,

otwarta pustynia, wśród której z niesłychaną regularnością biegły równe, porzeźbione nader misternie, a nagie pasma wzgórz, złożonych z czerwonych ilów, zlepieńców, tudzież piaskowców.

Budowa geologiczna najbliższej okolicy kopalni samej była mi już jasną, siodłowate, nader regularne ułożenie trzeciorzędnych piaskowców i zlepieńców ponad głębszymi, łukowato wygiętymi wapieniami było tak wyraźne, jak jaki muzealny model warstwowy, ale pomimo to dla uzupełnienia całości obrazu koniecznym było i dalszą nieco okolicę poznać i stwierdzić, jak daleko ku północy sięgają te równe wzgórza i pasma czerwonych, trzeciorzędnych pokładów.



Skąły piaskowców przy kopalni Maili Saj.

Fot. dyr. Ludig.

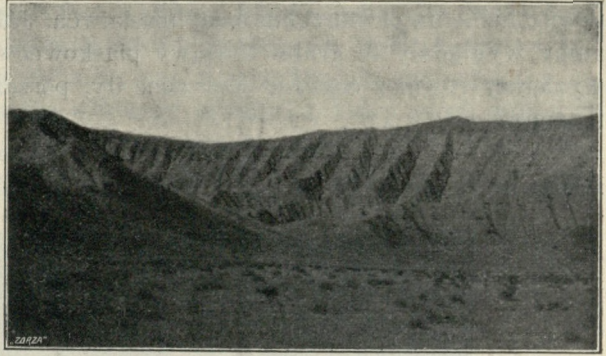
Konieczną była zatem dalsza wycieczka, a jej cel i kierunek nasuwał się sam przez się, gdyż tam ku północy w odległości jakich 25 kilometrów, w Bitau, leżała mała kopalnia węgla czarnego nad rzeką Narinem, znacznym górskim dopływem wielkiej, wschodnio turkestańskiej rzeki Sir Darja, starożytnego Jaksartesu.

Wycieczka ułożona została łatwo i szybko. Naczelnik — »wołostny« — naszej kirgizkiej eskorty wybrał dwa, wprawdzie niewielkie, ale silne i ręczne koniki dla mnie i mego towarzysza p. inżyniera Witolda Zabłockiego, oraz dwóch konnych przewodników, silnych i rosłych Kirgizów, brzydkich strasznie przez te malutkie, skośne oczy i te załamane nosy, jakie są nieodłącznymi cechami każdego typowego Kirgiza, ale swą naiwną, szczerą fizyognomią wzbudzających pełne zaufanie w ich bezpieczne i pewne przewodnictwo. A to zaufanie było potrzebne, gdyż jakichkolwiek map dokładniejszych tych okolic Ferghany nie ma jeszcze i co do drogi byliśmy zupełnie oddani na dobrą wiarę prze-

wodników, a nadto jeszcze porozumiewanie nasze z tymi Kirgizami było bardzo jednostronne i lakoniczne, gdyż żaden z nich nie umiał ani słowa po rosyjsku, a myśmy znowu nie rozumieli ich tureckiego, to jest sartyjsko-kirgizkiego języka.

Już przy wsiadaniu na konie mogliśmy się wszakże przekonać, że nasi przewodnicy są i staranni i przezorni, że pamiętają o wszystkim, co może być w drodze potrzebnem i od razu zawiązała się między nami a nimi nić niemej ale wyraźnej sympatii i ufności i przyszłość rychło udowodniła, żeśmy się w psychologii kirgizkiej nie omylili.

Było jeszcze rano i niezbyt gorąco — było to 6 września 1909 r., a więc już sam koniec letnich upałów — gdyśmy tak wyruszyli w cztery konie, objuczeni i aparatem fotograficznym i lornetą Zeissowską i młotkiem geologicz-



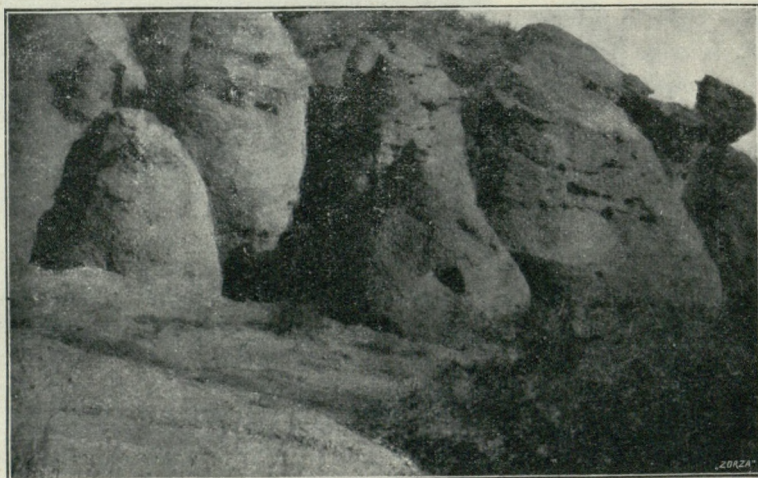
Dolinka w warstwach czerwonych ilów koło Maili Saj.
Fot. Szajnocha.

nym i aneroidem i trzema rewolwerami, które nosi się w Turkiestanie zawsze jawnie na wierzchu, każdej chwili gotowe do użycia, chociaż nader rzadko tylko używane na prawdę. Wygląd naszej karawany był niewątpliwie bardzo oryginalny, gdyż kostyum turystyczny z angielskiej materyi »kakhi« nie bardzo stosował się do terlicy kirgizkiej, ale przecież najbardziej malowniczo wyglądali nasi przewodnicy w szerokich, ciemnych, bawełnianych chałatach, kroju szerokiego domowego szlafroka i w białych, filcowych, stożkowego kształtu kapeluszach, dość niepraktycznych na pozór przy palącym słońcu pustyni. Szerokie, rozwiewające się za każdym ruchem chałaty w niczem nie przeszkadzały jednak na siodle naszym przewodnikom i widać było, że oni połowę życia spędzili na koniu i że w swej egzystencji wędrownych nomadów zrosli się z koniem, który rozumie ich każde słowo i nie zna ani żadnej przeszkody ani znużenia.

Raźno ruszyliśmy z miejsca i opuściwszy suchą dolinkę Maili Saj, wjechaliśmy najpierw w inną boczną, również suchą, lecz ku wschodowi prowadzącą dolinę, zupełnie podobnej budowy, później wspięliśmy się na grzbiet dość wysoki, z czerwonych piaskowców i zlepieńców takżę złożony i tutaj mieliśmy przepyszny widok na niższe a równe pasma, czerwone i nagie z tą samą stałą budową geologiczną warstw równo i niezmiennie ciągnących się na długiej na wiele kilometrów przestrzeni, z tym samym zawsze ku północy upadem. Ko palnia Maili Saj leży w dolinie na poziomie mniej więcej 640 m., tutaj na grzbiecie byliśmy na wysokości około 750 m. i taki mniej więcej był poziom dawnej penepeny — obecnie wyżyny — której rozczłonkowana teraz powierzchnia przedstawiała nam się w postaci regularnych, równych, daleko się ciągnących, a równej wysokości pasm, ponad którymi zdala na północnym wschodzie widniał pozębiony, porozdzierany, a wysoki łańcuch Jassi Tau.

Przepysalnie występowały tutaj wszędzie, zarówno na grzbiecie jak i w głębszych, zawsze suchych dolinkach, któremi później przejeżdżaliśmy raz po raz do góry się wznosząc i na dół spuszczać, wszystkie zjawiska pustynnej, wiatrowej erozyi. Zlepieńce czerwone podziurawione były, jakby postrzelane kulami armatniami, wszędzie słabsze, mniej odporne lepische skały było wyżarte i wyprute wiatrem i tylko twardsze ziarna i otoczaki kwarcowe lub wapienne tkwiły luźno na powierzchni masy piaskowca. Jak wspaniałe, sypiące się w gruzy ruiny wyglądały te grube warstwy piaskowców i zlepieńców, z pod których wyzierały również ceglasto-czerwone ily, porzeźbione w długie, głębokie bruzdy i zmarszczki.

I wśród tych rozkosznych dla oka geologa zjawisk pustynnych, jechałmy długo jedną po drugiej poprzeczną dolinką przez rzadkie kępki tama-

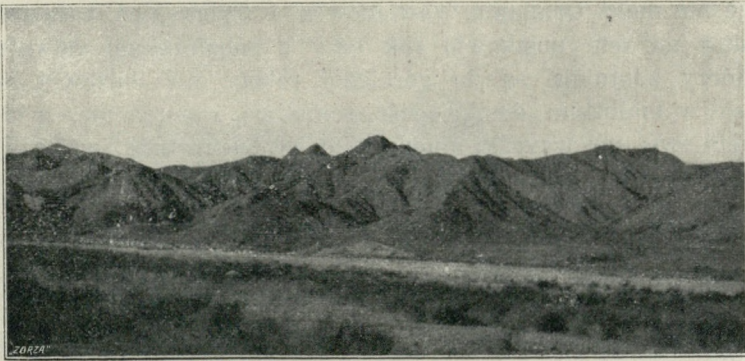


Piaskowce wyżarte działaniem wiatrów pustynnych pod Bitau.

Fot. Szajnocha.

ryszków i jakiejś nikłej trawki zielonawo-szarej, gdy nagle, po dokonaniu jednego z licznych zdjęć fotograficznych, spostrzegam, że lornetka Zeissa, wisząca na silnym rzemieniu obok browninga, znikła — razem z rzemieniem — bez śladu. Spadła widocznie — ale gdzie — kiedy, któż wie i jak jej szukać? Wracać o wiorst najmniej 10 do 12, aby szukać zguby po drodze, nie mieliśmy wcale ochoty, ani nawet czasu, gdyż do Bitau było jeszcze bardzo daleko, a przed wieczorem, musieliśmy koniecznie wrócić do Maili Saj, znieść zaś z rezygnacją zgubę kosztownej lornetki było także niełatwo, gdy zwłaszcza ona potrzebną była jeszcze do dalszej podróży w południowym i zachodnim Turkestanie. Staliśmy bezradni i my i Kirgizi, niewiedzący dokładnie, o co chodzi, i zasypujący nas pytaniami w ich gardłowym, urywanym, twardym języku, a nie rozumiejący ani słowa naszych odpowiedzi rosyjskich. W ciężkiej rozpaczycy zacząłem na migi, z użyciem porównawczych przedmiotów i najwymowniejszej gestykulacyi, tłumaczyć starszemu, widocznie bystrzejszemu i doświadczeńszemu Kirgizowi, że zgubiłem coś, co było duże, podobne do aparatu foto-

graficznego i wisiało na rzemieniu. Po malej chwile Kirgiz zrozumiał, powiedział coś swemu towarzyszowi, dał widocznie rozkaz, jak ten ma nas dalej prowadzić, a sam puścił się galopem szlakiem co dopiero przebytym i zniknął za chwilę w tumanie pustynnego kurzu. Myśmy pojechali jeszcze z jakie pół wiorsty i stanęli w głębi malej dolinki, w cieniu wysokiej skały na długi, bardzo długi postój. Usposobienie było bardzo melancholijne i nasze i koni, nie rozumiejących także, dlaczego odpoczywamy tutaj, gdzie niema ani wody, ani trawy, ani nawet tamaryszków, które możnaby oskubywać. Myśli nasze bardzo czarne, krążyły ciągle około tego pytania, czy Kirgiz istotnie zrozumiał, o co chodzi i czy potrafi wogóle odnaleźć zgubiony przedmiot, który mógł wtłoczyć się tak łatwo w piasek pustyni, albo w gęstą kępkę tamaryszków. Minął kwadrans i drugi i trzeci i wszelka nadzieja zgasła już w naszych umysłach, gdy



Przed Bitau.

Fot. Szajnocha.

po dobrej a długiej godzinie, przypędził znowu galopem nasz Kirgiz, z tryumfem już z daleka potrząsając czarnym, świecącym pokrowcem lornetki. Znalazła się zguba szczęśliwie, cała, nieuszkodzona, ale gdzie i jak bardzo daleko, o tem mieliśmy się dowiedzieć dopiero wieczorem, w drodze powrotnej. I ruszyliśmy dalej ku Bitau, przejechaliśmy znowu cały szereg dolin i wzgórz, przekroczyliśmy szerokie łożysko dawnej większej rzeki, — nieznanego nam bliżej nazwiska — w którym tu i owdzie sączyły się jeszcze strugi czystej wody, chciwie pitej przez nasze konie, a z wodą zmienił się zaraz cały charakter krajobrazu, znikła kamienna, naga pustynia. Otoczyły nas łąny uprawne kwitnącej bawełny, a nieopodal widniał szereg jurt kirgizkich, przytulonych do wzgórz, od wiatru wschodniego chroniących. Ale w tych jurtach niewiele było życia, ich nomadni mieszkańcy przeszli ze stadami wielbłądów w wyższe góry, gdzie o tej porze roku były jeszcze niespasione przestrzenie, i zaledwie dwie czy trzy ludzkie postacie widać było wśród jurt opuszczonych. O wiorstę dalej kończyły się nikle ślady wody i pola uprawne i zaczęła się znowu szersza, skalista pustynia, z głębokimi, przepaścistymi jarami i nagimi, ciągle czerwonymi, piaskowcowymi grzbietami.

Jeszcze kilka wiorst jechaliśmy tak wciąż z góry na dół i z dołu do góry, obok i wśród rozsypujących się mas piaskowców i potężnych zlepieńców, aż

dostaliśmy się na rozległą, szeroką i płaską równinę, nad którą wznosił się już dość blizki łańcuch Jassi Tau, a przed nim widniała jakaś, jak gdyby sterta siana czy słomy, z otwartą werandą malutkiego, glinianego domeczku.

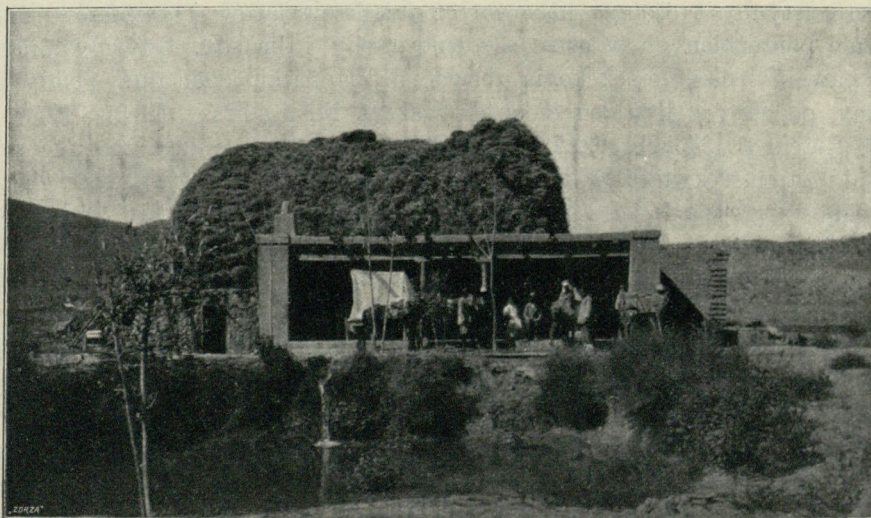
Konie nasze, pomimo palącego żaru południa, nie okazywały najmniejszego znużenia, płaska, piaszczysta równina zachęcała do dłuższego galopu, więc też prawie dwukilometrowym »finishem« prędko stanęliśmy przed tą werandą, w Bitau, w osadzie górniczej, złożonej z jednej maluchnej odkrywki i jednego malutkiego domku, mieszczącego wszystkie razem istoty do kopalni należące.

Przybycie nasze zapowiedział już był przed pół godziną jeden z naszych Kirgizów, który naprzód pocwałował, aby przygotować herbatę, więc też przyjęcie przez gospodarza, poważnego, bardzo mało mówiącego, lecz gościnnego i uprzejmego Ormianina, było chętne i życzliwe, do czego zresztą i urzędowy wygląd naszych białych, płaskich, wojskowych czapek rosyjskich przyczynił się niewątpliwie nie mało. Ormianin, zawiadowca i dzierżawca zarazem kopalni, mieszkał tutaj na tem pustkowiu rok cały z robotnikami, głównie Persami z Baku, którzy zdalniejsi są do górniczej roboty niż Sartowie lub Kirgizi i urządził się w malutkim domku dość schludnie i porządnie, może głównie pod wpływem swej towarzyszki, młodej, ale bardzo nieurodziwej Rosyanki, pochodzącej z Syberyi, z polskiej, wygnańczej rodziny. Ona robiła honory domu, ona nam opowiadała o życiu na kopalni i o kłopotach z robotnikami — zresztą dość nielicznymi, nie tając wcale, że się tutaj nudzi i że na zimę wróci do Irkucka, bo tam i ładniej i przyjemniej. Po dłuższym, wydatnym wypoczynku z winem daghestańskim, z obfitym posiłkiem ormiańskiego i mailisajskiego pochodzenia i z niezliczoną ilością szklanek herbaty, przyrządzonej na dobrej i nie słonej — jak to było w Maili Saj — wodzie, poszliśmy — jeszcze ciągle w żarzącym skwarze południa — oglądnąć kopalnię, leżącą tuż niedaleko domu, przed doliną Narina, płynącego nieopodal jako górską, lecz dość płytka i nieszeroka rzeka, ze skalistego i wyniosłego łańcucha Jassi Tau.

Kopalnia ta — najprymitywniejszego, prawdziwie kirgizkiego typu — składa się z malej odkrywki i krótkiej sztolni, idącej w głąb ziemi z szerokiego, stromego i głębokiego na jakich 25 do 30 metrów parowu, schodzącego gdzieś dalej do łożyska Narinu. Węgiel wraz z ciemnymi łupkami i marglami w grubości całej może do 10 m. leży bezpośrednio pod czerwonymi zlepieńcami, ilami i piaskowcami, zapadającymi wyraźnie ku południowi pod kątem 35 - 40° i odsłoniętymi na jakie 15 m. miąższości. Węgiel jest czarny, zбитy, dość twardy i w pierwszej chwili miałoby się ochotę zaliczyć go do której z formacji trzeciorzędowych, ale temu stają na przeszkodzie rośliny kopalne, które, chociaż nie z Bitau, ale z innych punktów węglowych wychodni Ferghany dawno znane i zbadane przed dwoma laty szczegółowo przez A. Sewarda, każą ten węgiel przydzielić do dolnego lub środkowego piętra formacji jurajskiej. Już Romanowski, a przede wszystkim starszy J. Muszkietow, ów tak zasłużony badacz Turkestanu i autor doskonalej mapy geologicznej całego turkestańskiego obszaru, znali liczne wychodnie tych czarnych węgli w różnych punktach kotliny Ferghany i zaliczali je do jurasu, a wobec paleobotanicznego opisu Sewarda, o wieku dolno-jurajskim tych węgli, wątpić już teraz nie wolno. Te węgle jurajskie

znane są zresztą z bardzo licznych punktów północnego, środkowego i wschodniego Turkestanu i mają nawet tu i owdzie, np. w okręgu Kuldzy, większe znaczenie górnicze. Są to mniejsze i większe odrębne zagłębia, rozsiane między rzeką Sir Darją a pasmami Alatau Tian Szanem i też same węglonośne jurajskie pokłady istnieją także po wschodniej stronie Pamiru i na południe od Tian Szanu, na brzegach zachodnich kotliny Tanimu — w Turaczi na północny zachód od Hami — jak to dowodnie stwierdził tak zasłużony a tak przedwcześnie zmarły prof. Futterer podczas swej ekspedycji przez pustynię Gobi.

Kopalnia w Bitau, prawdziwie mikroskopijnych rozmiarów i tak naiwnie nie fachowo prowadzona przez owego Ormianina i stąd będąca w wiecznym zatargu z władzą górniczą — wprawdzie bardzo a bardzo odległa, gdyż rzą-



Domek i sverta lucerny przy kopalni w Bitau.

Fot. Szajnocha.

dzącą z odległości 550 wiorst, aż z Taszkentu — niewiele chyba produkuje tego, zresztą bardzo dobrego węgla, który na grzbietach wielbłądów wędrować musi o 75 wiorst, aż do Namanganu, ludnego miasta powiatowego, gdzie zbyt znajduje w kilku mniejszych fabrykach, głównie bawełnę miejscową oczyszczających. Ładunek wielbłąda wynosi średnio zaledwie 260 kilogramów, łatwo więc pojąć, jak kosztownym staje się transport tego węgla, który w innych warunkach mógłby się stać podstawą większego fabrycznego przemysłu.

Wielbłądów nie widzieliśmy wcale w pobliżu kopalni ani jucznych, ani na pastwiskach, ale że one często i w niemałej liczbie tutaj muszą bywać, wskazywała na to olbrzymia sverta lucerny, przygniatająca niemal swym ogromem ów malutki domek i z daleka już widna z pustyni. Lucerna jest główną zimową paszą w Turkestanie dla wielbłądów i koni, rośnie ona wszędzie po oazach nader bujnie i w całej Ferghanie obok ryżu, kukurudzy, prosa, dżugary (Sorghum), a przede wszystkim bawełny, jest ważnym przedmiotem uprawy.

Koło kopalni, mającej wszędzie wody podostatkiem z koryta nieopodal płynącego Narinu, było już dawno po zbiorach i tylko koło owych opuszczonych jurt kirgizkich, które widzieliśmy przed południem, bielily się łany bawełny, poraz drugi w roku teraz kwitnącej. Bawełna ta miała stać się jeszcze fatalną dla jednego z naszych Kirgizów.

Gdyśmy oglądali kopalnię, zrobili kilka zdjęć fotograficznych i wypoczęli dostatecznie, pora była pożegnać gościnnego Ormianina i spieszyć do Maili Saj, aby przed zmierzchem jeszcze przebyć niektóre strone i dla nóg końskich po nocy niebezpieczne jary i parowy, które wyczerpująco poznaliśmy już przed południem. Wracaliśmy więc tym samym szlakiem, który teraz w innym popołudniowym oświetleniu znowu nowe nam ukazywał piękności krajobrazowe i byliśmy chętnie zatrzymali się jeszcze dłużej w niejednym punkcie, tak pięknym był ten pustynny krajobraz czerwonych jak krew jarów i grzbietów, dziwnie misternie porzeźbionych w ostre a równe garby i bruzdy. Gdyśmy mijali pas jurt i bawełny, chciałem z konia zerwać na pamiątkę jeden duży biały kwiat bawełny, podobny z kształtu nieco do malwy. Nasz starszy Kirgiz, który rano tyle inteligencji i sprytu okazał ze zgubioną lornetką, chciał mi być pomocnym, ale zamiast kwiatu zrywał ciągle już dojrzałe, pęknięte owoce bawełny, nie mogąc przez bardzo długą chwilę zrozumieć, że mnie kwiat więcej obchodzi, niż już spękany owoc z białem, jedwabistym włóknem. Podczas tego zginania się Kirgizowi, który już z konia zeskoczył, uзда wysunęła się z rąk, koń znudzony dłuższem czekaniem wyrwał się i pogalopował wesoło w kierunku naszego stałego obozu, ku Maili Saj. Biedny Kirgiz miał minę bardzo zafrasowaną, groził mu bowiem pieszy powrót przez jakich 15 do 18 wiorst, prócz innych jeszcze możliwych uszkodzeń siodła i cugli i ratunek mógł polegać tylko na dopadnięciu uciekającego konia przez drugiego Kirgiza, mającego wszakże mniej silnego i rączego rumaka.

I zaczęły się wyścigi między uciekającym koniem a młodszym Kirgizem, który teraz miał sposobność okazania swoich jeździezych zdolności, a zarazem wytrzymałości swego wierzchowca. Parę wiorst trwały te wyścigi, aż Kirgiz przecież dopadł uciekającego konia i zgrabnie zbiega przytrzymał. Szkody w siodle i w cuglach nie było prawie żadnej, karawana nasza mogła więc wrócić do pierwotnego stanu i jedynie żywa bardzo rozmowa Kirgizów, pełna gestykulacji — dla nas niestety niedostępna — świadczyła o przebytych świeżo emocjach.

Jeszcze dwie godziny przeszły dość powolnej już teraz jazdy wśród tych samych, ale dla nas zawsze prawie nowych piękności pustynnego krajobrazu i zabłysły nam białe ściany domków na kopalni w Maili Saj, które w tym pół-zmierzchu zapadającego wieczoru, jeszcze ciągle dość gorącego, nie tylko były malowniczą plamą na tle skalistej, czerwonej i nagiej doliny, ale obiecywały nam gościnny wypoczynek pod opieką zapobiegliwego i doświadczonego dyrektora p. Ludiga, któremu i tej — do Bitau — wycieczki doskonale urządzenie mieliśmy do zawdzięczenia. Taki był jeden z kilku dni, spędzonych w jesieni 1909 r. w górach Ferghany.

Dr. Władysław Szajnocha.



52765